Cena egzemplarza **35** groszy.

OPŁACONO RYCZAŁTEM.

ROK I. DNIA 8-GO LISTOPADA 1925 r. № 7.

PRZEDJUTRZE

TYGODNIK

POLITYCZNY ▪ SPOŁECZNY ▪ LITERACKI

Treść numeru:

Konfiskata Nr. 6.

Przy wydawaniu numeru 6-go naszego tygodnika, otrzymaliśmy zawiadomienie telefoniczne Komisarjatu Rządu, że numer powyższy ulega konfiskacie za treść trzech artykułów:

1) „Przekleństwo"— artykuł omawiający chaos psychiczny i nędzę rosnącą w Łodzi.

2) „Konsekwentnie" artykuł omawiający stosowanie przez Prezydenta Rzeczpolitej prawa łaski wobec skazanych na śmierć kryminalistów i więźniów politycznych.

3) „O żołnierzu nieznanym" refleksje literackie wywołane ostatnim obchodem uroczystości na cześć „Nieznanego Żołnierza".

W treści powyższych artykułów Komisarjat Rządu dopatrzył się przestępstwa z artykułu 129 K. K. (kodeksu carskiego — dotychczas w Niepodległej Polsce normującego „prawomyślność", obywateli).

Aby nie pozbawić naszych czytelników możności otrzymania numeru w bieżącym tygodniu, wypuszczamy natychmiast numer następny, zastępując artykuły skonfiskowane materjałem posiadanym przez Redakcję. Za uchybienia stąd wynikłe uprzejmie czytelników naszych przepraszamy.

REDAKCJA.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, ul. Królewska 29a m. 4. Telefon 125-52.

Redakcja i Administracja otwarta od godz. 4—5 po poł. codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt.

Warunki prenumeraty: miesięcznie Zł. 1. Kwartalnie Zł. 3. Zagranicą Zł. 6 — kwartalnie.

Konto czekowe P. K. O. № 9272.

Początek nowej gry.

Po zakończeniu konferencji ministrów spraw zagranicznych w Locarno staraliśmy się dowieść, że konferencja ta, bynajmniej, nie zabezpiecza powszechnego pokoju, więcej nawet: zabezpieczenie powszechnego pokoju nie było celem konferencji, a tylko hasłem, frazesem, pod którym starano się ukryć walkę dyplomatyczną między Anglją i Francją.

W rezultacie walki tej zwyciężył angielski punkt widzenia, czyli w Locarno odbyło się przegrupowanie sił kapitału międzynarodowego.

Lecz okazuje się, że konferencja nie zakończyła się właściwie w Locarno. Finał konferencji rozgrywa się w Niemczech. Bowiem nacjonaliści niemieccy nie chcą akceptować nawet tych kompromisowych paktów, które podpisane zostały przez ich kolegów ministerjalnych — Luthera i Stressemana.

Francuska prasa nacjonalistyczna, a wślad za nią polska uderzyły na alarm w jeden ton.

Zamykając oczy na rzeczywistość, przejęci strachem przed rozgrywającym się nowym aktem dziejowym, politycy nacjonalistyczni nie chcą wyjść z ciasnego podwórka, nie chcą zetknąć się z prawdą i wolą dopatrywać się przyczyny zachwiania się paktów locarneńskich w dyplomatycznej grze nacjonalistów niemieckich.

W jeden głos więc twierdzą, że niezadowolenie nacjonalistów jest nieszczere, pozorne; że jest to gra, obliczona na to, by rząd niemiecki mógł wyzyskać natychmiast wszystkie korzyści paktu locarneńskiego dla siebie. Inspirowana prasa twierdzi chórem, że wycofanie się ministrów nacjonalistycznych z rządu niemieckiego i cały ruch nacjonalistyczny w Niemczech — to tylko fałszywa gra, dzięki której rząd niemiecki będzie mógł tem łatwiej szantażować swych kontrahentów z Locarno.

Tym „odkryciem" dyplomatycznym pocieszają się, jak głodny, który najadł się trocin zamiast chleba.

Istota rzeczy, prawda leży w zgoła innej płaszczyźnie.

Krwawa wojna światowa nie została rozegrana. Wszyscy wojnę tę de facto przegrali, gdyż jedynym widocznym jej wynikiem są miljony ofiar i zrujnowane doszczętnie kraje. Te zaś ciężary, które zostały przez byłą koalicję antyniemiecką narzucone stronie pozornie zwyciężonej (jeśli chodzi o rezultaty wojny w głębokiem rozumieniu tych spraw!), a więc Niemcom—drogą kompromisów i przy dźwiękach nowych zbrojeń — zostają narazie łagodzone, tak by dać możność wszystkim odetchnąć i zaleczyć choćby powierzchownie rany wojenne.

Rozpaczliwy stan gospodarczy całej Europy nie pozwala, oczywiście, na nowe sankcje karne, nowe wojny. Wszystkie państwa na gwałt leczą gospodarkę, przeprowadzają sanację waluty, reformy podatkowe, gospodarcze... słowem, ratując się przed ruiną, idą na wszelkie kompromisy, **byle tylko utrzymać przez pewien czas pokój...**

A więc pokój nie jest sam w sobie celem wszelkich konferencji, i między innemi, konferencji locarneńskiej, a tylko doraźnym środkiem leczniczym, który ma postawić osłabionych pacjentów wojennych na nogi. Chodzi tylko o to, kto wpierw „wyliże się" z ran wojennych i uzbroi się w kapitał i karabin tak, by podporządkować sobie innych.

Niemcy, którzy nigdy dobrymi dyplomatami nie byli, idą prostą drogą, brutalnie do celu. Wiedząc o tem, że Europa nie jest w stanie wytoczyć obecnie nowej wojny, pod tym czy innym pozorem nie dotrzymują zobowiązań i stopniowo odbudowują przedwojenną potęgę. Francja i Anglja, mające różne interesy na kontynencie, rywalizują z sobą i raczej ubiegają się o względy Niemiec.

Równocześnie zaś każde państwo zosobna wyłazi ze skóry, by jaknajszybciej przeprowadzić sanację gospodarczą u siebie i w przyszłości zmusić byłego przeciwnika drogą pokojową czy wojenną do wywiązania się z kontrybucji wojennej, drudzy—do przekreślenia traktatu wersalskiego.

Locarno jest jednym z jaskrawych dowodów, że **wojna światowa nie została rozegrana.** Jest to, mówiąc po bolszewicku, „pieredyszka" kapitalistyczna, która ma na celu doprowadzenie do możliwości nowych sankcji wojennych.

Przyszły historyk, który objektywnie oceni znaczenie konferencji locarneńskiej — niewątpliwie potraktuje ją jako kroki przygotowawcze do nowej gry wojennej, (a nie pokoju powszechnego!), **stanowiącej dalszy ciąg nierozegranej partji.**

Gdyby nas kto jednak zapytał, czy spodziewamy się wobec tego nowej wojny kapitalistycznej, odpowiedzielibyśmy bez namysłu: nie... Byłby to wniosek zbyt pospiesznie wyciągnięty. Nowa wojna, choćby najmocniej tkwić miała w umysłach obecnych rządców Europy, nie jest już od nich zależna. Wchodzą tu w grę inne potężne czynniki, a w pierwszym rzędzie masy pracujące, które armje tworzą i na swoich barkach ciężary wojny dźwigają.

Masy te dojrzały i niewątpliwie nie dałyby się uwieść krzykom „patrjotycznym", jak to miało miejsce w roku 1914. Każda wojna międzypaństwowa grozi

dziś wojną domową. Z tego zdają sobie sprawę nawet zdolniejsi dyplomaci europejscy.

Gdyby zaś jakieś nadzwyczajne okoliczności mogły nawet doprowadzić do wojny, to niezawodnie każda wojna taka byłaby początkiem końca panowania ustroju, przy którym wojna jest koniecznością, konsekwencją polityki zbrojeń, czyli t. zw. niesłusznie polityki pokojowej.

Wiedząc o tem, zdając sobie sprawę z tego, czem jest dzisiaj potęga proletarjatu angielskiego, czem grozi ruch robotniczy we Francji, w Niemczech i w innych krajach, dyplomaci europejscy, zerkając kokieteryjnie i nie bez widocznej obawy w tamtą stronę, mówią jedynie o „tendencjach pokojowych“.

Mimo wszystko jesteśmy świadkami „pieredyszki“, a nie trwałego pokoju. Obserwujemy przygotowywanie się do nowej, wzgl. kontynuowania nierozegranej gry wojennej, którą przerwie nowa, wyrastająca z mroku nędzy i niewoli potęga.

A konferencja w Locarno jest zwrotnym momentem w polityce wojennej mocarstw europejskich, momentem, który ostatecznie zdyskredytował krwawe apetyty twórców wojny.

Obecne stosunki międzypaństwowe zwiastowałyby nową wojnę. Lecz stosunki i układ sił wewnętrznych w państwach europejskich stanowią dla dzisiejszych władców groźne memento mori.

I to jest jedynie przyczyną utrzymywania się stanu pokoju, a nie dobra wola dyplomatów z Locarno.

O-cz.

Painlevé — Grabski a P. P. S.

Według doniesień rządowych z Paryża.

Izba deputowanych 221 głosami przeciwko 189 głosom przyjęła następujący porządek dzienny: Izba deputowanych, aprobując oświadczenie rządu i mając zaufanie, iż będzie on kontynuował w pełnej zgodzie z większością republikańską politykę pokoju i uzdrowienia finansowego, a razem odrzucając wszelkie poprawki, przechodzi do porządku dziennego.

W głosowaniu nad powyższą rezolucją, komuniści i prawica oddali swe głosy przeciwko rezolucji; socjaliści powstrzymali się od głosowania, zaś za rezolucją oddali głosy: radykali, socjalni radykali, republikanie socjalistyczni i lewica radykalna. Pozatem powstrzymali się również od głosowania niektórzy deputowani z centrum i z prawicy.

Jest pewna analogja w sytuacji premiera francuskiego Painlevé'go i premiera Grabskiego. Jednemu i drugiemu premierowi nie wyrażono votum nieufności, jakkolwiek wyrażone im zaufanie opiera się na bardzo problematycznej większości. Mówiąc językiem parlamentarnym, kryzys gabinetowy minął, lecz kryzys polityczny utrzymuje się w całej sile.

Różnica jednak w sytuacji parlamentarnej we Francji i u nas polega na tem, że francuscy socjaliści wstrzymali się od głosowania, co Painlevé'mu dało możność utrzymania się u steru rządu. U nas zaś socjaliści głosowali przeciwko votum nieufności dla rządu, co Grabskiemu również dało możność utrzymania się u władzy.

We Francji utworzony został kartel stronnictw lewicowych, który w ostatniej chwili rozbity został przez socjalistów, którzy nie chcieli brać na siebie odpowiedzialności za działania wojenne i gwałty w Marokko i Syrji.

U nas P.P.S. nie rozbijała wprawdzie kartelu lewicowego, bo kartelu takiego niema, lecz chcąc wzorem swych francuskich towarzyszy podtrzymać rząd... Grabskiego, nie tylko nie powstrzymała się od głosowania, lecz głosowała wraz z endecją, podtrzymując w ten sposób rząd p. Grabskiego.

We Francji socjaliści zażądali energicznego ściągnięcia w pierwszym rzędzie daniny od kapitału. Minister skarbu Caillaux nie chciał iść konsekwentnie i energicznie tą drogą i został obalony. Painlevé ma rzekomo przeprowadzić sanację skarbu, lecz równocześnie chce trwonić siły ludzkie i pieniądze w wojnie w Marokko i Syrji i dlatego spotkał się z protestem socjalistów w formie wstrzymania się od głosowania.

I pod tym względem P.P.S. chciała naśladować francuskich towarzyszy. I oto P.P.S. w osobie p. Hausnera składa w sejmie wniosek o zabraniu bogaczom kosztowności (nie mówili, co prawda, o bogaczach, lecz któż, jak nie oni mają złoto i brylanty?) w formie przymusowej zwrotnej i oprocentowanej pożyczki. Wniosek ten nie spotkał się nawet z protestem prawicy, wywołał natomiast... śmiech ogólny. Nie dlatego, bynajmniej, by sam wniosek był śmieszny, a tylko dlatego, że złożony został przez przedstawiciela P.P.S., najlojalniejszej, ultrarządowej partji...

Zdawałoby się, że jeśli z jednej strony P. P .S. złożyła wniosek taki, a z drugiej — podtrzymała rząd Grabskiego, to, logicznie wziąwszy, premier Grabski, który jest równocześnie ministrem skarbu, zgodzi się na wprowadzenie w życie wniosku p. Hausnera i będzie ściągać kosztowności...

Nie trzeba chyba podkreślać, że przypuszczenie takie byłoby śmieszne.

Natomiast należy podkreślić i na każdym kroku P.P.S. przypominać, że jedynym pozytywnym rezultatem jej głosowania wspólnego z endecją, jest żądanie endencji z przybudówkami przeprowadzenia rewizji ustawodawstwa socjalnego, a w pierwszym rzędzie zniesienie ośmiogodzinnego dnia pracy.

Jak wiadomo, endecja nie jest tak ślamazarna, jak P.P.S. Jej żądania wynikają konsekwentnie z programu i z całą energją będzie wprowadzać w życie rękami premiera Grabskiego, czy innego premiera. Każda więc straba pozycji w dziedzinie ustawodawstwa socjalnego jest odtąd na wyłącznej odpowiedzialności Polskiej Partji Socjalistycznej. Nie pomoże fakt ustąpienia męża zaufania P.P.S. ministra Sokala. Przez jego ustąpienie nie zmniejszy się odpowiedzialność P.P.S. Nie pomogą wykręty P.P.S.: „nie nasz człowiek jest ministrem pracy“.

Kwestja bowiem ustawodawstwa socjalnego jest rzeczą Sejmu, a wprowadzenie go w życie rzeczą rządu, który może każdą ustawę paraliżować takiemi czy innemi rozporządzeniami (jest to u nas na porządku dziennym!).

Główną winą P.P.S. jest głosowanie solidarne ze stronnictwami, które jako warunek podtrzymania rządu p. Grabskiego postawiły kwestję rewizji ustawodawstwa socjalnego, mimo to jednak uzyskały głosy P.P.S.

Z całym więc naciskiem podkreślamy, że wszelkie uchybienia w dziedzinie ustawodawstwa socjalnego, a w pierwszym rzędzie naruszanie zasady 8-godzinnego dnia pracy leży na wyłącznej odpowiedzialności Polskiej Partji Socjalistycznej, która może być chwilowo taktycznie uratowana jedynie w wypadku ustąpienia rządu Grabskiego, co zdaje się być zresztą kwestją bardzo niedalekiej przyszłości.

Co słychać z sanacją.

Złoty zaczął spadać w końcu lipca. Od tego czasu również datuje się silne zaostrzenie kryzysu gospodarczego. Minęło od tej krytycznej chwili 3 miesiące. Jest zatem okazja do zrobienia kwartalnego „bilansu" rozreklamowanych wysiłków „sanacyjnych". Postawiwszy sobie skromne pytanie, co dotychczas Rząd uczynił dla odprężenia napiętej do ostateczności sytuacji w życiu gospodarczem, zobaczmy jak się w rzeczywistości sytuacja ta przedstawia.

Jedynym pozytywnym rezultatem tych wysiłków było uzyskanie czynnego bilansu handlowego za wrzesień, po zastosowaniu iście końskiego środka w postaci bezwzględnego przeprowadzenia reglamentacji przywozowej. Nadwyżka przytem uzyskana była przedewszystkiem w drodze skurczenia importu, co odbiło się silnie na niektórych gałęziach przemysłu, nie mogących się obejść bez półfabrykatów importowanych, oraz zasadniczo zachwiało polską politykę traktatową. Stosowanie bowiem reglamentacji w tych rozmiarach, w jakich jest ona przeprowadzona dotychczas, nie mogło nie wywołać reakcji i stosowania środków odwetowych ze strony tych państw, które zawarły z nami umowy handlowe, co musi z kolei rzeczy pociągnąć za sobą rewizję względnie obalenie traktatów. Nie przesądzając kwestji, czy wyjdzie to polskiej racji stanu na zdrowie, możemy stwierdzić, iż wprowadzi to do polityki ekonomicznej naszego Rządu szkodliwy zamęt, utrudniający skoncentrowanie uwagi na sprawach wewnętrzego życia gospodarczego kraju. Czynny bilans handlowy w wrześniu, i według wszelkiego prawdopodobieństwa w październiku — to cały pozytywny rezultat przeprowadzonej „sanacji". Natomiast stron negatywnych mamy daleko więcej. Na pierwszym miejscu należy wysunąć, jako gmach najcięższy, dający się porównać jedynie z klęską żywiołową — dalsze skurczenie się obiegu pieniężnego.

Sytuacja finansowa jest w dalszym ciągu w najwyższym stopniu zabagniona. Disagio bilonu i biletów zdawkowych w stosunku do biletów Banku Polskiego, które było jednym z powodów zachwiania się złotego w końcu lipca r. b. — stało się już nieaktualnem... poprostu dlatego, że najwyraźniej posiadamy dwie waluty. Na dzień 10 października według danych Głównego Urzędu Statystycznego ogłoszonych w „Wiadomościach Statystycznych", na ogólną cyfrę obiegu pieniężnego w Polsce 689.624 tys. zł. przypadło biletów Banku Polskiego 381.496 tys. zł., zaś bilonu i biletów zdawkowych 307.128 tys. zł. Wynika z tego iż stosunek pieniądza podwartościowego — bilonu — do prawnego środka płatniczego, jakim są bilety Banku Polskiego, przekroczył 80%. Jest to jednoznaczne z obecnością dwuch różnych walut w obrocie, i tylko ogólne przygnębienie psychiki gospodarczej obywateli i rozpaczliwy głód gotówki nie dopuszcza do normalnej reakcji społeczeństwa i do wprowadzenia znacznych różnic kursowych w obrocie pomiędzy temi dwoma walutami i tak nie pokrywającemi nawet w części potrzeb obrotu. Polityka Banku Polskiego mimo to w dalszym ciągu błądzi na rozstajach abstrakcji i doktrynerstwa i w oderwaniu od potrzeb życia gospodarczego wszystkie swe wysiłki skierowuje ku interwencji, zapominając niemal zupełnie o roli, do jakiej jest powołana, jako największa w Polsce instytucja kredytowa.

Naturalnie, że bezpośrednim skutkiem chaosu w stosunkach finansowych Polski, jest stagnacja w przemyśle posunięta do rozmiarów tak niebywałych, że stosunki tam wkraczają czasami w dziedzinę anegdoty. Np. robotnicy zbierający składkę na fabrykanta, aby ten mógł wykupić surowiec i prowadzić dalej fabrykę (vide Kurjer Polski „Refleksje" z dnia 3 b. m.), są obrazkiem jedynym w swoim rodzaju, świadczącym o tem, jak dalece posunęło się zubożenie wszystkich warstw społecznych w państwie kapitalistycznem. Nasuwa się tu powiedzenie jednego z wybitnych finansistów angielskich: Dobra gospodarka kapitalistyczna jest złem, lecz złem koniecznym i dobroczynnem w skutkach dla wszystkich, lecz zła gospodarka kapitalistyczna, jest okropnością i bynajmniej nie konieczną. („Financial News" 26.IX. 25)

Kwiatki w postaci zamykania fabryk z braku nie tylko pieniędzy na wypłaty robotnikom, ale na marki pocztowe dla korespondencji, przestały już dziwić kogokolwiek i są na porządku dziennym.

Monstrualne obciążenie podatkowe obywateli, które chyba tylko urzędnikom skarbowym wychodzi na zdrowie — dopełnia miary.

Co się jednak dzieje z temi, którzy podatków nie płacą, kredytów nie żądają i dla których kwestja bilansu handlowego jest najbardziej obojętną? Co się dzieje z robotnikiem i pracownikiem umysłowym?

Odpowiedź krótka — w 90% wypadków — jeśli taki ma zajęcie — to cierpi nędzę, bo albo pracuje na kredyt, albo też pracuje mało i nie zarabia wiele, albo też nie pracuje wcale i tembardziej cierpi nędzę.

W ciągu trzech omawianych miesięcy, liczba bezrobotnych rejestrowanych w państwowych urzędach pośrednictwa pracy wzrosła ze 177 tys. do 203 tys. osób, zaś faktyczna liczba według przybliżonych obliczeń jest dwa razy większa, rachując bez przesady. Oznacza to ni mniej ni więcej, tylko taki stan rzeczy, że około 1.600 tys. osób w Polsce, to jest 5 — 6% ogólnego zaludnienia jest bez środków do utrzymania i wisi pomiędzy życiem a śmiercią głodową na rządowych zapomogach i funduszach filantropji społecznej. Prawdziwe państwo dziadów!

Naturalnie o tyle jest lepiej, że nędza dotknęła wszystkich, albowiem rząd nasz ma rzeczywiście tendencje demokratyczne...

Zrobiwszy ten mały bilans akcji sanacyjnej za ostatni kwartał, nie będziemy wyciągać wniosków, byłoby to zbyteczną tantologją. Ograniczymy się do staropolskiego „Szczęść Boże” pod adresem Rządu, na drodze dalszych poczynań sanacyjnych.

H. R.

Z księgi wrażeń.

Żyjemy w czasach istotnego postępu demokratyzacji we wszystkich dziedzinach życia. Rozwój kultury i cywilizacji, aczkolwiek zgoła mikroskopijny, zbliża nas jednak powoli do kresu naszych dążeń, do realizowania naszych ideałów życiowych, które tak są z tym rozwojem związane, jak owoc z drzewem, na którym wyrasta. I zdaje nam się chwilami, że posunęliśmy się bardzo daleko naprzód. Zaczynamy wtedy przeceniać rezultaty naszej pracy dotychczasowej i — cofamy się wstecz... Nigdy więc; przenigdy, nie traćmy czujności bojującego ducha, czujności, która nam stale będzie ukazywała nowe cele naszych wysiłków i stale będzie nas do nich podniecała.

Żyjemy w czasach istotnego postępu demokratycznego...

Zdawaćby się mogło, iż stwierdzenie owego postępu jest zarazem stwierdzeniem tego, że urzeczywistniliśmy choć cząstkę naszych projektów i marzeń, wieszczących światu dobro i sprawiedliwość. A jednak—jakże srodzebyśmy się zawiedli, sąd taki wydając. Bowiem skoro zrobimy jeden krok naprzód, to już boimy się zrobić drugi — a o trzecim nawet myśleć nie chcemy. Wystarcza nam tedy to, cośmy już zrobili, aż wreszcie zatracamy świadomość istotnego postępu i kontentujemy się jego pozorami. I stajemy oto nad granicą nikczemności i obłudy. I jeżeli wtedy nie zjawią się jacyś budziciele serc i dusz naszych, tytany myśli i słowa, którzy nam mgłę przed oczyma rozproszą i drogę właściwą wskażą—lub też prawda życia nie zajrzy nam w oczy grozą jakiegoś kataklizmu — to przeżywamy okres zwyrodnienia i upadku.

Tak, postęp demokratyzacji w dzisiejszych czasach jest dość znaczny...

Ale zdaje mi się, że właśnie, zrobiwszy krok naprzód, utknęliśmy w samozadowoleniu z tych naszych, o, jakże nikczemnie małych, wysiłków i karmimy się pozorami tego, co jeszcze nie istnieje...

Wystarczą nam oto demokratyczne wykrzykniki najbardziej zgnuśniałych w konserwatyzmie jednostek; elegijno-demokratyczne „wypracowania na temat...“, drukowane w naszych, za przeproszeniem, gazetach warszawskich; sielankowy demokratyzm naszego sielsko-nieanielskiego sejmu; zdemokratyzowanie (?) naszego ustroju państwowego; wreszcie demokratyczne enuncjacje naszych stronnictw politycznych i politycznych stronników naszych oraz dostojna demokratyczność przesławnych ojców naszego społeczeństwa...

To wszystko nam wystarcza — dopóki nie zobaczymy prawdy, kryjącej się na dnie tych pozorów... Prawdy uporczywie bolesnej i wstrętnej...

* * *

Republika demokratyczna, oparta na zasadach ładu, sprawiedliwości powszechnej i dobrobytu (powiedzmy: choćby najmniejszego) — jest łaskawie tolerancyjna, (i jeszcze jak tolerancyjna), dla ustrojów zgoła monarchicznych...

Na tych samych terenach, które są objęte dobroczynną władzą przedstawicieli ludu, prosperuje królestwo, którego republika nie stara się dostrzec, bo niebezpieczeństwo z tej strony nie grozi.

Jest to królestwo — Nędzy.

Prawdziwy, dobrze zorganizowany, na trwałych podstawach oparty, ustrój monarchiczny z władzą absolutną na czele. Liczba poddanych wzrasta z dnia na dzień, więc byt królestwa zapewniony jest na długi, długi okres czasu. Tembardziej, że nikt przeciwko niemu nie występuje, nikt nie wysyła armij, uzbrojonych w dalekonośne działa i tanki, aby władczynię jego raz na zawsze z oczu ludzkich przepędzić. Tak, bo przecież to nie jest ani węgiel, ani nafta, ani, płynąca mlekiem i miodem, prowincja, ani żadna rzecz, która jest rzeczą współczesnego państwa demokratycznego, inne górniejsze cele mającego przed sobą. Więc szkoda zachodu: nie opłaci się...

A nędza tryumfuje.

* * *

Dobrze jest, jeżeli ktoś się nad tem przemożnem panowaniem nędzy zastanowi. Jeszcze lepiej, gdy po zastanowieniu się weźmie do ręki jaką gazecinę i przeczyta uważniej kronikę wypadków. Najlepiej zaś postąpi ten, kto poświęci trochę wolnego czasu i przejdzie się w dzielnice, napełnione błotem i biedą, gdzie z każdego kąta wyzierają wiecznie smutne oczy tych nieszczęśliwców, którzy znikąd żadnej nie upatrują już pociechy. Nie będzie miał ten człowiek snu spokojnego od chwili, gdy te rzeczy obejrzy. Ale zdobędzie skarb nieoceniony, który wynagrodzi mu sprawioną sobie dobrowolnie przykrość: nauczy się oglądać życie z różnych stron, i pozna tragiczną konsekwencję błędów ludzkich. I ten człowiek stanie się prawdziwym—demokratą. A kiedy zechce coś uczynić i morze nędzy potrafi zmniejszyć choć o jedną kropelkę, odwróci sie nowa karta w dziejach demokracji i kultury.

Niechaj więc przyjrzą się wszyscy obrazkom, które teraźniejszość wymalowała na płótnie życia.

Oto w rodzinie robotnika X., który, złożony trawiącą organizm gruźlicą, po wyjściu ze szpitala znalazł się z żoną i dziećmi bez środków utrzymania, zdarza się wypadek, który budzi grozę swą potwornością. Jedna z jego córeczek, dziecko dwunastoletnie, nie mogąc znieść widoku głodujących rodziców i sióstr, (młodszych od niej) popełnia samobójstwo, aby choć w ten sposób ulżyć nieszczę-

śliwej rodzinie. Heroizm dwunastoletniego dziecka, przefilozofowanie życia, samobójstwo!... Rzeczy, od których rozum się mąci...

A oto drugi obrazek. Robotnik M. emigrant z Rosji, w której się urodził i wychował, po zwolnieniu z wojska, pozostaje przez pewien czas bez pracy, wreszcie dostaje się z powodu choroby (ze złych warunków życia wynikłej) do szpitala. Po wyzdrowieniu znajduje się znowu na bruku bez dostatecznej nawet odzieży (bo pa'to płócienne, wypożyczone ze szpitala, wkrótce mu odebrano) i to w okresie chłodów i deszczów jesiennych. Nie ma gdzie spać, nie ma co jeść... W oczach poprostu ginie i opada z sił. Pomimo te najgorsze warunki bytowania, nie może przemóc w sobie wstrętu i nocować bezpłatnie w słynnym przytułku noclegowym, urządzonym przez magistrat przy ulicy Dzikiej, który jest siedliskiem najgorszych brudów, robactwa, zgnilizny moralnej (nic zresztą dziwnego!) i wszelakich chorób.

Obrazków takich możnaby przytoczyć tysiące...

Jedno tylko trzeba stwierdzić, że sławetni opiekunowie m. st. Warszawy, którzy, mając na różne cele dostateczną ilość pieniędzy, (np. na wyjazdy zagranicę etc.) pozwalają na istnienie podobnego przytułku, o jakim wspomnieliśmy, muszą mieć dusze tak piękne i czyste, jak sale owego hotelu. Inaczej trudno to sobie wyobrazić...

Tak samo, jak zresztą trudno sobie wyobrazić, że istnieją ludzie, którzy z lekkiem sercem zostawiają w kabaretach i restauracjach tysiące złotych w tym samym czasie, gdy inni popełniają samobójstwa lub giną z głodu, nie mając... 30 złotych na całomiesięczne utrzymanie...

Ale przecież to są tylko — ludzie...

Jerzy J-wicz.

Kronika polityczna w kilku międzywierszach.

Dlaczego P.P.S. żąda kredytów dla przemysłu?

Bo dba nie tyle o bezrobotnych, ile boi się, że sama zostanie bez pracy i „Robotnika", jesli dalej tak pójdzie...

* * *

Jak wiadomo w Wilnie aresztowano podprokuratora sądu okręgowego Witolda Hurczyna za kradzież 40 tysięcy złotych, złożonych w sądzie.

Jak mówią złosliwi, podprokuratora owego wprowadzili przez omyłkę do celi politycznej. Więźniowie polityczni, którzy nie wiedzieli jeszcze, że podprokuratora aresztowano za kradzież, podobno niezmiernie się ucieszyli, gdy ujrzeli swego niedawnego surowego pana i władcę.

Ku ich wielkiemu zdziwieniu jednak ich nie wypuszczono.

* * *

Dlaczego P.P.S. podtrzymała rząd p. Grabskiego?

Bo jej jest wszystko jedno, jaki rząd burżuazyjny stoi u steru państwa...

Tak wynika przynajmniej z deklaracji P.P.S. I to — nie dowcip...

* * *

Według doniesień „Robotnika" poseł Stańczyk P.P.S. w drodze powrotnej z Kongresu socjalistycznego w Marsylji odwieził górników polskich we Francji.

Jakąż ulgę przyniósł p. Stańczyk jęczącym towarzyszom swoim?

O, ogromną! Nie wytrzymał i rozpłakał się razem z nimi... Nawet robotnik, którego p. Stańczyk znał w Zagłębiu Dąbrowskiem jako komunistę, padł mu w objęcia i również płakał. Długo tak płakali, aż wszystkim ulżyło... A p. Stańczyk przywiósł łzy te do Warszawy i przez łzy głosował za podtrzymaniem rządu Grabskiego, w imię... interesów płaczącego górnika polskiego we Francji...

* * *

Dlaczego po ucieczce komisarza Leszczyńskiego minister sprawiedliwości Żychlinski pozostaje jeszcze u władzy? — pytają ze zdumieniem w Sejmie...

Właśnie dlatego, że Leszczyński uciekł — odpowiada flegmatycznie jeden z posłów frakcji Komunistycznej...

* * *

Humoru prawdziwego nie zgnębi żadna nędza — powiedział pewien humorysta.

„Tak jest", powiedział zbankrutowany właściciel obozu asenizacyjnego. Zbakrutowany bowiem, uspokoił wierzycieli oświadczeniem, że płacić będzie... towarami.

„To — żaden dowcip — dorzucił 'smętnie dostawca jednej z instytucyj rządowych. Bowiem zgodnie z ostatecznym rozporządzeniem rząd płacić będzie dostawcom... identyczną monetą.

OD ADMINISTRACJI.

W Administracji naszego tygodnika są do nabycia komplety i pojedyńcze numery zawieszonego tygodnika „PRZEDWIOŚNIE".

Komplety wysyłamy po wpłaceniu zł. 2.— za zaliczeniem pocztowem zł. 2 gr. 20 (komplet zawiera 20 egzemplarzy). Pojedyńcze egzemplarze po cenie gr. 25, za zaliczeniem pocztowem — gr. 30.

MARCIN ANDERSEN NEXÖ.

PASAŻEROWIE MIEJSC NIEZAJĘTYCH.

(Przekład autoryzowany)

Czy nie dlatego może nasz wiek nazywa się żelaznym, że większość z nas przychodzi na świat z kajdanami na nogach? Ja tam należałem do tych wzgardzonych, którzy, ledwie począwszy pełzać, odrazu stają się ogniwami nieskończonego łańcucha niewolników życia, których przeklęty los polega na tem, aby ze wszech sił swoich uprzyjemniać ziemską egzystencję nielicznym wybrańcom życia. Od czasu do czasu, to tu, to tam, któregoś z nas oswabadzano, odsyłając w krainę wieczności, — bez wielkich wydatków i zbytnich ceremonji — poczem nasze szeregi znowu zwierały się same przez się. Pozostali wlekli brzemię dalej, nisko schyleni ku ziemi. Nasze wygłodniałe dusze napełniały powietrze swem łkaniem; niby stada zbłąkanych ptaków krążyły one bezustanku w górze, poszukując ustronia. Było ich tak wiele, że zamraczały niebo i rzucały cień nawet tam, gdzie było bardzo jasno.

Nastał dzień, kiedy i mnie, wskutek choroby i niezdatności do pracy, również dano wolność: ciśnięto mnie dla śmierci w otwartem polu. Lekarza do mnie nie zawezwano, aczkolwiek chciałem był jeszcze pożyć trochę na świecie, ale za to ksiądz punktualnie stanął nademną. Czekał tylko na chwilę, kiedy moje serce przestanie się tłuc, aby odmówić nade mną modlitwę za zmarłych. Dla usprawiedliwienia go muszę, zresztą, powiedzieć, że trudził się on tym rzemiosłem z polecenia państwa.

Ale tym razem zdobycz wyślizgnęła mu się z rąk. Pewna dobra niewiasta zaopiekowała się mną i sprowadziła lekarza.

— Tuberkoloza, — oświadczył. — Ogólne wyczerpanie. Złe odżywianie się, Przepracowanie. Jak długo już pracujesz?

— Dwadzieścia lat.

— A ile masz lat?

— Dwadzieścia cztery lata.

— No, w takim razie, odbyłeś termin swej pracy.

— Czy niczem mu już nie można pomódz? — spytała miłosierna niewiasta.

— Zima na Południu mogłaby go uratować. W przeciwnym razie, zdechnie.

Słowo „zdechnie" dotknęło mię boleśnie, chociaż zupełnie niepotrzebnie. Po co przypisywać specjalne znaczenie do słów, skoro sens ich pozostaje bez zmiany? A pod tym względem nie było najmniejszych wątpliwości. Przecież w społeczeństwie dzisiejszem niema takiej instancji, do której mógłby się odwołać niewinnie skazany na śmierć, z prośbą o zmiłowanie. Policja opiekuje się naderwanemi i pokaleczonemi końmi, ale umęczony i ginący z wyczerpania robotnik może wzywać tylko nieba. Przeto, nie zastanawiając się wiele, pogodziłem się z koniecznością napełnienia swych zgniłych płuc szczęśliwością wiekuistą.

Ale oto, pewnego pięknego poranka — znalazła się w mej kieszeni niespodzianie dość znaczna kwota— kilkaset koron, któremi zaopatrzyła mnie wspomniana miłosierna niewiasta — i postanowirem wyruszyć do Italji.

Niepodobna opisać mego nastroju: przecieżem wyślizgnął się z uścisków grobu i, co jeszcze ważniejsze, wyrwałem się z jarzma niewoli! Jako wróbelek, który cudownym sposobem wydarł się z pazurów kota, pomknąłem w świat napół nieżywy, ale z radością i nadzieją w sercu.

Przez kilka dni musiałem jednak zatrzymać się w Kopenhadze, aby doprowadzić do porządku sprawy niecierpiące zwłoki: Zamieszkałem tedy w mansardzie pewnego domu przy ul. Noerrebro. Sąsiadką moją była maleńka, wyschła starowinka, niewiadomo jak i z czego żyjąca na świecie. Nie miała ani krewnych, ani przyjaciół; sama zaś zbyt była stara i zmęczona życiem, aby módz zająć się jakąś pracą. Mieszkała w zupełnej samotności i miała opinję kobiety niespełna rozumu... Nie wiem, czy czułem wtedy potrzębę ludzi, czy może moja szczęśliwa twarz znęciła ku mnie staruszkę, dość, że wdała się ze mną w rozmowę i opowiedziała mi swą smutną historję.

...Jako zupełnie jeszcze młoda dziewczyna, lekko i ubogo ubrana, ale z gorącą krwią w ciele, niewyczerpaną energją, przybyła skądź z Jutlandji do stolicy, aby stanąć w niezliczonym szeregu skromnych istot, nie wymagających od życia niczego, prócz jako tako znośnej egzystencji. Wkrótce też zeszła się z pewnym człowiekiem ze swej sfery — robotnikiem, pragnącym, jak i ona, wyjść na szerszą drogę. Z tem wspólnem im obojgu dążeniem, zamiast wiana, zawarła ślub i poczęła wydawać na świat potomstwo: zaledwie odjęła od piersi jedno dziecko, już drugie oczekiwało swojej kolei. Tak mijał czas: w dzień trzeba było troszczyć się o chmarę dzieci, a w nocy, kiedy wszystko spało, musiało się doprowadać do porządku ich odzież, aby nad ranem miała wygląd przyzwoity. Nigdy nie miała ani jednej minuty, by zająć się czemś innem. Zaczem dzieci poczęły umierać: jedne bardzo wcześnie, a inne dopiero wtedy, gdy podrosły i mogłyby też pomagać rodzicom. Raz, podczas roboty, mąż doznał pokaleczeń poważnych, tak że odtąd przez kilka lat zrzędu chorował. Tak przemęczyli się oboje prawie do srebrnego wesela, przed którym na czas pewien zmarło się jej staremu. Kiedy go pochowano, wdowa Jensen (było to jej nazwisko) pomyślała, że teraz będzie mogław reszcie odpocząć, ale nagle zauważyła, że stała się starą, samotną kobietą, to też zaczęła tęsknić do swych stron rodzinnych. Poczęła zbierać pieniądze na drogę, ale w żaden sposób nie mogła zebrać koniecznej kwoty! Każdym razem, gdy juz zdawało się, że ma dość, przychodziła konieczność płacenia komornego, albo zjawiał się jakiś inny wydatek, który pochłaniał prawie wszystkie oszczędności. Pragnienie ujrzenia miejsc rodzinnych doszło u niej dwukrotnie do tak ostrej fazy, że sprowadziło ją na stację kolejową; ale za pierwszym razem zatrzymał ją kontroler przed odejściem

pociągu, a za drugim — dojechała aż do Korsoer, gdzie ją wysadzono z pociągu i skierowano z powrotem.

— O mało, że niedostałam się wtedy pod sąd, mimo że zajmowałam w wagonie puste miejsce—dodała staruszka.

Drżała na samo wspomienie o tem zajściu, które kazało jej się wyrzec swego marzenia.

— A teraz,—zakończyła swoją opowieść—wszystko, czego pragnę, to złożyć swą zmęczoną głowę tam, gdzie nad mojem ciałem nie będą już turkotać koła wozów... O, gdybyż można było przewieść moje ciało przez morze i pochować na cmentarzu ojczystym!—zawołała.—Jak myślisz, czy bardzo drogo by to kosztowało?

Obrzuciła swą ubogą alkowę, jakby obliczając, czy starczyłoby jej mienie na pokrycie takiego wydatku. Tam, w kraju rodzinnym, umarłych chowają na wysokiem zboczu nadbrzeżnem, skąd otwiera się widok na staw wioskowy; po tych miejscach biegała w owym dawnym czasie, gdy jeszcze pasała stado,— i tam też pragnęłaby spać snem wiecznym...

Zetknięcie się z tą starą kobietą otworzyło mi oczy na świat, w którym żyłem, na to wszystko, dzięki czemu tak ciężko cierpiałem, nie zdając sobie z tego jasno sprawy, — na okrutną niesprawiedliwość losu. Było to tak dlatego, że inaczej być nie mogło. Ale jeśli na ziemi nie można nic zmienić — powiedziałem sobie,—to pocóż myśleć o tem? Bez tego fatalizmu życie dla biedaków stałoby się ciężarem nie do zniesienia; musieliby kończyć samobójstwem, albo wszystko zburzyć i zniszczyć. Jednakże, mimo to, zrozumiałem też i coś innego, ponieważ stanąłem teraz na drugiej pozytywnej stronie życia i mogłem robić porównania. Zrozumiałem, że **mogłoby być inaczej**—w każdym razie odnośnie do do staruszki: wszakże ona zajęła **puste miejsce!**

Jeszcze bardziej przejrzałem na oczy podczas swej podróży na południe, do Italji. Nasz pociąg pospieszny zatrzymał się nagle, koło jakiegoś małego górskiego miasteczka, i myśmy wyszli z wagonu, — nieco rozruszać nogi. Według rozkładu jazdy nie było tu przystanku, to też zdziwił nas bardzo powód postoju. Staliśmy już z pół godziny, gdy naraz koło stacji przemknął express. Niby we mgle przemknęły przed nami trzy sypialne wagony ze spuszczonemi firankami i tak zwany błyskawiczny parowóz. Nie zauważyliśmy ani jednej żywej istoty w tym potworze, który hucząc i trzęsąc się, wpadł z djabelskim rykiem do tunelu i przepadł w jego czarnej paszczy. Jak się pokazało, jakiś miljoner berliński, udając się do Egiptu zamówił podczas swego przejazdu całą linję kolejową do Brindisi. Oprócz niego byli tylko jego lokaj i kucharz.

Dopiero, gdy on przemknął koło nas, my, kilkuset pasażerów mogliśmy się udać w dalszą drogę — droga była wolna. To nieduże, ale interesujące zdarzenie dało nam niemało materjału do rozmów. Ktoś zauważył: „Za dawnych czasów zbójcy poprostu napadali na podróżników, dziś obrabowuje się ich inaczej—na nowoczesną modłę“. Ktoś innem był wielce niezadowolony z tego, że osoba prywatna miała możność wtrzymania ruchu na jednej z głównych linji europejskich tylko po to, by mogła sama przejechać. Nikt wszakże nie wyraził szczerego oburzenia: pieniądze pokazały swą moc, to też wszyscy jeszcze raz schylili kornie przed niemi głowy.

Ale dla mnie ten pociąg, z hałasem wiozący przez Europę przeżytego miljonera, człowieka, który nawet nie zwracał uwagi na przedziwny krajobraz i spieszył kędyś, opuściwszy firanki w przedziale, byle tylko zwiększyć, jak najbardziej, swe bogactwa — dla mnie ten pociąg posiadał specjalne znaczenie. Myślałem o sobie samym i o tem, z jakim trudem wyrwałem się z okropnej niewoli. Od siebie przeniosłem się myślą ku tym wszystkim, którzy umierali tam, w domu, z braku to tego, to owego, z biedy, z nędzy. Iluż wzgardzonych, iluż bezmyślnie zgnębionych było wśród tych, których znałem! I ilu takich jeszcze jest na całej ziemi!

Ja już dawniej spostrzegałem miejsca niezajęte; teraz zaś odżyły one przed memi oczami. Ujrzałem teraz tych wszystkich, którzy na nich nie siedzieli: **pasażerów miejsc niezajętych.**

Odtąd chadzali oni za mną z tą wiernością głęboką, jaką znaleść można, tylko u biedaków. Otaczali mnie w dzień i zaludniali w nocy żywemi obrazami moje sny.

Powiadają, że są ludzie, posiadający dar jasnowidzenia. Mnie się wydaje, że każdy człek jest otoczony tłumem niewidzialnych duchów, a wszystko tkwi tylko w tem, by je ujrzeć. W tem właśnie tkwi tajemnicza zdolność jasnowidzenia, ale zawsze jest ona—dobrodziejstwem. Orfeusz, który śpiewał i grał dla cieni światów podziemnych, poniechał tam swoją duszę: mówiły o tem dźwięki jego liry...

Biada temu, czyje oczy ujrzały miejsca niezajęte: on nigdy już nie zazna spokoju duszy. Tak! głęboko cierpi, ponieważ widzi je wszędzie, albowiem usiany jest niemi cały świat. Ziemia wydaje mu się pociągiem, który prowadzi szatan: z piekielną szybkością pędzi on tam, kędy popychają go ludzkie sprawy i dążenia, ale w jego wagonach — miejsca niezajęte. Na cały głos wykrzykuje djabeł nazwy stacji, przelatując koło nich ze swym korowodem miejsc niezajętych, na których winni siedzieć wzgardzeni przez los.

Koniec.



Redaktor i wydawca: TADEUSZ KRUK-STRZELECKI.

Druk. p. f. „LECH“, Sp. z o. o., Warszawa, Koszykowa 33, Tel. 403-66.